DODATEK LITERACKI
DO „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO"
WYCHODZI CO DWA TYGODNIE

Rok I. | Berlin, niedziela, dnia 11 grudnia 1921 r. | Nr. 6.

W ROCZNICĘ LISTOPADOWĄ.

Listopad..
Po jesiennych zawiejach
Ostatni liść opadł
W Belwederskich alejach,
Zwiędły, czerwony
Jakby zmaczany we krwi,
Gdyście gromadą szli
Carskie rozwalać trony.

Cudni szaleńce —
Polacy najszczersi —
Jaki was przymus wiódł
W carskich siepaków dom?
Wolności głód,
Co w Wysockiego piersi
Zahuczał tak, jak grom,
I wskazał wam cel drogi:
Zabijać wrogi!

Nike biegła przed wami
Z rozwianymi włosami
Wielka, jasna, płomienna,
Tak, jak burza wiosenna,
I patrzyła się noc —
Bowiem była w was moc
Aby Polskę ocalić,
Grób kamienny rozwalić,
Wszystkie serca rozpalić.

Listopad...
Po jesiennych rozwiejach
Ostatni liść opadł
W Belwederskich alejach,
Zwiędły, czerwony
Jakby zmaczany we krwi,
Gdyście gromadą szli
Carskie rozwalać trony.

Henryk Zbierzchowski.

Dzwon we Włościejewkach.*)

(Podanie ludu wielkopolskiego.)

Wątłe to było, mizerne i słabowite, że zlituj się Boże. Na chudej twarzyczce wcześnie rozsnuł cienie smutek, a z oczu wyzierała tęsknota.

Wołali ją Hanką. Dwunastu lat nie dobiegiszy jeszcze, sama pozostała na świecie, jak palec. Rodzice umarli, a krewni nie zaopiekowali się sierotką. Poszła do Włościejewek na służbę, pasała krowy, gęsi, zaco dawano jej marnej strawy łyżkę i nieco przyodziewku.

*) Włościejewki — nazwa wsi w poznańskim.

Pewnego razu nad jeziorem siedząc, gdy bydło pasło się nieopodal, usłyszała, że z głębi wody za każdem fal poruszeniem wydobywają się dźwięki przedziwne, niby dalekie bardzo i stłumione granie dzwonów. Porwał dziewczynkę lęk nieokreślony; chciała uciekać, ale przestrach przykuł ją do miejsca... Na myśl przyszło Hance, co opowiadali ludzie, że dawniej, bardzo dawno, znajdowało się tu wielkie i bogate miasto. Żyli w nim ludzie bezbożni, których napróżno wzywały do opamiętania nawet dzwony świątyni Pańskiej. I zato spotkała ich też kara: pioruny spaliły miasto, powódź zalała je i na miejscu grzesznej sadyby utworzyło się jezioro.

— Nic innego, — pomyślała Hanka — jeno to dzwony zatopionego miasta, razem z nim zatopione, grają tam gdzieś na dnie, żaląc się, że niewinnie muszą dzielić pokutę.

— A chciałabyś ty je wyzwolić? — zapytał nagle staruszek, który ni stąd ni zowąd stanął przy dziewczynie, jakby z pod ziemi wyrósł. Brodę po pas białą miał, jak mleko, a oczy patrzyły tak poczciwie i z taką zachętą, że dziewczynkę strach opuścił, jakby ręką odjął.

— Pewnie, że chciałbym, — odrzekła — lecz jakże potrafię zrobić coś podobnego, ja, której trudno dźwignąć konewkę wody?

— Nie rąk silnych potrzeba do tego, — tłumaczył nieznajomy — jeno dobrej woli i czystego serca, jak twoje, w którym żadna myśl grzeszna nie postała dotąd. Spełnisz zaś dobry uczynek. Tam na dnie leży dzwon, który chce służyć Bogu i ludziom; w waszych zaś Włościejewkach dzwonnica przy domu dotąd stoi pustką.

— Och, powiedz mi, dobry staruszku, jak go wydobyć?

— W pierwszą noc nowiu, gdy wieś cała pogrąży się już we śnie, przybądź nad jezioro, zmówiwszy po drodze trzy Ojcze nasz i trzy Zdrowaś. Dzwon podpłynie wówczas ku tobie i sam ci powie, co dalej masz uczynić.

Hanka chciała jeszcze o coś zapytać, ale starca już nie było. Tak zniknął, jak się pojawił.

W kilka dni później księżyc po ostatniej kwadrze zeszedł z nieba i Hanka w noc nowiu, jak to przykazał staruszek, wykradłszy się po cichutku z czeladnej izby, pomknęła nad jezioro. Gorąca modlitwa wzbiła się z jej ust, gdy przez pola biegła naprzełaj, byle czem prędzej dopaść brzegu wody.

Noc była ciemna. Od jeziora powiewał wiatr chłodny i potrząsał drzewami przydrożnymi, z wiatrem zaś rozbrzmiewało rzewnie, jakby błagalnie, granie dzwonów zatopionych.

Hanka dopadła brzegu. Woda zaczęła się kłębić i burzyć, jakby ją próła łódź niewidoczna. Tuż przed

dziewczynką ozwał się plusk. Z pod ciemnych fal wynurzył się dzwon i na brzeg wtoczył się z trudem.

— Przyrzekłaś, że mnie weźmiesz. Czy dotrzymasz słowa? — ozwał się głos z głębi dzwonu.

— Co mam uczynić? — wyszeptała Hanka strwożona. — Siły moje słabe i nie urosłam nawet o tyle, by objąć ciebie.

— Spróbuj jednak objąć i dźwignąć, a przekonasz się, że święty starzec mówił prawdę.

Wyciągnęła tedy Hanka rączęta i w tejże chwili dzwon sam wcisnął się w jej ręce i uniósł się w górę, ciągnąc ją z sobą ku wsi. Olbrzym zdawał się lekki, jak piórko, pędził zaś tak chyżo, że ledwie utrzymać się mogła. W lot też przebył niedaleką drogę i zawisł na dzwonnicy.

Nazajutrz rankiem radość zapanowała we wsi nie do opisania. Mieszkańców przebudził po raz pierwszy, odkąd zapamiętali, srebrzysty, do głębi przejmujący dźwięk dzwonu na Anioł Pański. Kto żyw, śpieszył pod dzwonnicę, aby na własne oczy przekonać się, że to nie złuda. Zebrany tłum na klęczkach dziękował niebu za cud oczywisty.

Że zaś ów cud zdziałał się przy pomocy biednej, słabej sierotki, nikomu ani na myśl nie przyszło. Nic też nie zmieniło się w jej doli; dalej pasała bydło i gęsi.

Pewnego razu, wróciwszy do domu, dziewczę uczuło, że ją naprzemian coś pali, to znów lodem mrozi. Niemoc porwała ją taka, że na nogach biedactwo nie mogło ustać. Na swym barłogu skulona jęczała cicho i nikt nie zatroszczył się o opuszczoną sierotkę. Trzeciego dnia umarła.

Gospodarz, człowiek bardzo skąpy, nie dał nawet na podzwonne w czasie pogrzebu i ani on ani nikt z jego rodziny nie wziął udziału w pogrzebie. Ale gdy trumienkę grabarz składał do grobu, dzwon kościelny rozbujał się sam na dzwonnicy i jakby przez łzy dzwonił długo, aż wreszcie jęknął i nagle... umilkł.

Umilkł na zawsze!

Pękło serce dzwonu z żalu, że dano sierocie zginąć tak marnie i że nikt łzy nawet nie uronił nad jej mogiłką.

Lud polski.

Od Karpat po morze Bałtyckie żyje lud polski, lud siermiężny, oddany pracy na roli ku pożytkowi wszystkich stanów, całego narodu. Żyje na wielkich i szerokich, słonecznych równinach, nad brzegami rzek i w mrocznym cieniu lasów; stąpa po górach i na płaskim, bagnistym pojezierzu. Pełno go wszędzie: i tam, gdzie z ziemi rodzajnej obfity plon zbierać może, i tam, gdzie każde ziarno dobyte z wydm piaszczystych oblewać musi krwawym potem. To też w chłopskim obliczu, ogorzałym od słońca i wiatru, znać ślady tych trudów; każdy fałd, każda bróżda na nim to jeden rok, pełen nadziei z wiosną, pełen pracy na skwarze letnim, plonu w jesieni, a pełen także klęsk, zawodów i różnych nieszczęść.

Lud polski jest jeden, gdziekolwiek mieszka na polskiej ziemi. Z jednej on wielkiej pochodzi rodziny słowiańskiej, w jednej mowie polskiej Boga chwali i jedną ma ojczyznę.

Ale jak rozmaita jest przyroda ziem polskich, jak różne są okolice kraju naszego, tak też wyróżnia się od siebie lud w różnych stronach mieszkający.

Płowe więc ma włosy, jak len, co się na ziemi jego rodzi; oczy siwe, jak niebo, pod którym żyje; rosły jest i silny, jak dęby, i rozśpiewany, jak łany żyta, gdy nad niemi ciepły wiatr powionie. To znowu smagły (smukły) jest i gibki (giętki) w górach, a tak rączy i zwinny, że ze skalnymi kozicami mógłby iść w zawody; szary i smutny w mgłach i oparach Polesia, a chmurny i zadumany w mrocznych lasach puszczy białowieskiej. Wesół jest i ochoczy tam, gdzie ziemia bez znacznego trudu plony wydaje; twardy i nieugięty tam, gdzie ciężko na każdy kawał czarnego chleba pracować musi.

Jaka jest ziemia i niebo w każdej okolicy, taki też lud który ją zamieszkuje.

Podobnie dzieje się i ze strojem ludowym. Jego rozmaitość powstała pod działaniem odmiennej przyrody i jako wynik wpływów sąsiedzkich.

We wszystkich jednak prawie okolicach Polski spotykamy, jako główną część składową tego stroju, sukmanę.

Sukmana, choć różnie skrojona, podobna jest zawsze do kontusza tak samo, jak suknia spodnia bez rękawów, zwana kamizelą czy kabatem, przypomina żupan (kontusz i żupan = części dawnego stroju polskiego). Na zimę wdziewają mężczyźni czapkę baranią, na lato kapelusz różnego kształtu; kobiety noszą różnego kroju spodnice, wzorzyste gorsety, stroją się w różnobarwne wstążki.

Te części stroju ludowego powtarzają się we wszystkich okolicach, ale w każdej okolicy są one różne, innej barwy i innego kroju.

Kujawiacy np. noszą kaftany bez rękawów, z sukna granatowego, czasami zielonego, na kaftan wdziewają kierezję, rodzaj burki z kołnierzem stojącym i kapturem, zwanym „Bóg zapłać". Kurpie ubierają się w sukmany z ciemno-szarego samodziału, z tyłu gęsto fałdowane i w kamizelki o kilku rzędach guzików bronzowych.

Lud krakowski pod względym stroju pierwsze miejsce zajmuje w całej Polsce. Mężczyźni przykrywają głowy stożkowatym kapeluszem, z pawiem piórem lub świecidłem; czasami spotyka się zamiast kapelusza magierkę (czapka węgierska, okrągła) albo rogatywkę płaską, czerwoną, z czarnym barankiem i pękiem piór pawich. Sukmany mają białe lub bronzowe z czerwonymi naszyciami w różne kwiaty i wzory. Pod sukmaną noszą kaftany bez rękawów, błękitne, bogato naszywane, pas rzemienny, nabijany ćwiekami i ozdobiony wiszącymi kółkami mosiężnymi, wśród których widać kozik, krzesiwo, krzemień, fajkę itd. Kobiety noszą gorsety kolorowe, wyszyte czerwonymi wypustkami i złotymi galonami (naszywka), pod niemi barwne spodnice i zapaski; głowy obwiązują haftowanymi chustkami, wiązanymi nakształt zawojów. Tak mężczyźni, jak i kobiety, noszą buty z cholewami i podkówkami.

Górale ubierają się zupełnie inaczej, niż mieszkańcy równin. Strój ich składa się z koszuli lnianej, spiętej metalowym guzem u szyi; dokoła bioder ozdobnie wyszywany pas o sprzążkach mosiężnych; w czasie zimna wkłada się na koszulę serdak, krótki kożuszek bez rękawów, ładnie naszywany, a na ramiona krótką „gunię" („cuhę) z grubego, siwego lub brunatnego samodziału; spodnie mają długie, obcisłe, na stopach rodzaj trzewików, zwanych kierpce; na głowie czarny, okrągły kapelusz, opasany sznurkiem muszelek.

Jak różny bywa strój ludowy w różnych okolicach, tak też różne są chaty.

Chata polska ma zwykle sień pośrodku, a na prawo i lewo od niej po jednej lub po dwie izby. Na Ślą-

sku i w Poznańskim są chaty zazwyczaj murowane; na Kujawach, przeważnie drewniane i słomą kryte, mają w jednym rogu tak zwany „przyłap", to jest rodzaj sieni bez ścian pod wystającym dachem. Na Podlasiu zabudowania są niskie, szczupłe, pod strzechą; w Małopolsce chaty z sienią pośrodku mają z jednej strony izbę, z drugiej komorę; naprzeciwko chaty stoi stodoła, z boków chlewy i obora. W górach widać chaty obszerniejsze, ściany drewniane, szczeliny między deskami zatkane mchem, dachy gontowe lub dranicowe (dranica deska z drzewa szpilkowego, naciśnięte czasem kamieniami, aby oprzeć się mogły wichurze. Kominy rozpowszechniły się dopiero w ostatnich czasach; dawniej chaty były kurne.

Głównym zajęciem ludu polskiego jest rolnictwo i chów bydła. Dopiero tam, gdzie ziemia jałowa nie może wyżywić wszystkich mieszkańców, lud chwyta się innej pracy; a więc hoduje pszczoły, trudni się rybołostwem na Polesiu i nad morzem, gdzieindziej uprawia różne działy przemysłu domowego, jak wyrób zabawek, sprzętów drewnianych i t. p.

Lud biedny, ale ziemię ojczystą ukochał całą swoją prostą duszą. I nie dał sobie wydrzeć piędzi tej ziemi. Dla niej pójdzie w tułaczkę pomiędzy obce narody; ocean przepłynie, aby w dalekich, zamorskich krajach zarobić na przykupienie bodaj jednego zagona w kraju ojczystym.

Lud dzielny, ochoczy, wesoły, rad w święto się stroi, w tańcu czy w pracy zawsze piosnki śpiewa; porywczy, ale w sercu długo złości nie żywi; uzdolniony i pracowity, przedewszystkim jednak odznacza się głęboką pobożnością i przywiązaniem do wiary ojców swoich, do mowy i do dawnego zwyczaju.

To też na ziemi polskiej, na swoim zagonie on jak twierdza stoi niezłomna, jak tarcza mocna i puklerz (tarcza okrągła, środkiem wypukła) ochronny dawnego zwyczaju, mowy i wiary ojców naszych.

Franciszek Jaworski.

Muzea w Polsce.

Słowo „muzeum" często obija się o uszy nasze. Słyszamy i czytamy o Muzeum Narodowym w Krakowie, o Muzeum Polskim w Rapperswilu, (gdzie złożone jest w urnie serce Kościuszki), o Muzeum Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu; wiemy, że każde nieomal większe miasto posiada conajmniej jedno muzeum. Co rozumieć przez słowo „muzeum"?

„Muzeum" znaczy właściwie „świątynia, przybytek poświęcony boginiom Muzom". Starożytni Grecy czcili boginie, które Muzami nazywali jako opiekunki sztuk pięknych. Bogiń tych liczyli dziewięć; każda z nich przedstawia pewną określoną sztukę. Więc mieli Grecy Muzę komedji, tragedji, tańca itd. Później nazywano „muzeum" każde miejsce, gdzie oddawano się naukom i sztukom. Dzisiaj mianem „muzeum" oznaczamy gmachy czy sale, w których nagromadzone są w celach naukowych czy to dzieła sztuki (rzeźby, obrazy, przedmioty artystyczne) lub pamiątki związane z historją narodu, miasta czy też okazy przyrody jak zbiory zwierząt, owadów, minerałów itp.

Już dawno przed przyjściem na świat P. Jezusa gromadzono po pałacach bogatych panów rzymskich zbiory dzieł sztuki; wielką gorliwością w gromadzeniu zabytków odznaczali się później niektórzy cesarzowie rzymscy. I Kościół katolicki od samego początku swego istnienia jest gorliwym opiekunem sztuk pięknych. Już w słynnych kaplicach podziemnych w Rzymie i innych miastach, gdzie chrześcijanie z obawy przed poganami nabożeństwa odprawiali, spotykamy przepiękne malowidła ścienne i rzeźby; w całej pełni staje się Kościół mecenasem (opiekunem) sztuki, kiedy wyszedłszy z ukrycia jawnie Bogu cześć oddaje. Wspaniałe świątynie, jakie Kościół wystawia, przyozdobione przepięknemi obrazami, rzeźbami, mozaikami, pełne przedmiotów do służby Bożej potrzebnych o wysokim poziomie artystycznym stają się pierwszorzędnymi muzeami. Kościół otacza stałą i gorliwą opieką zabytki sztuki, chroni je przed zatratą i uszczerbkiem i tak dzięki Kościołowi do dnia dzisiejszego przetrwały okazy sztuki z czasów najdawniejszych chrześcijaństwa. Około zachowania zabytków do dnia dzisiejszego mają wielką zasługę przedewszystkiem papieże, którzy w osobnym Muzeum Watykańskiem już od dawnych czasów przedmioty sztuki, jak rzeźby, obrazy gromadzą. Muzeum Watykańskie należy do najbogatszych i najcenniejszych muzeów świata.

I w Polsce kościoły są pierwszymi muzeami. Z biegiem czasu gromadzi się w nich znaczna ilość zabytków i to z rozmaitych epok, tak że niektóre kościoły u nas są w całej pełni muzeami o wartości pierwszorzędnej. Dość wspomnieć tylko katedrę na Wawelu albo tum gnieźnieński. Ileż tam dzieł sztuki i pamiątek historycznych nagromadzono!

Z rozszerzającą się coraz bardziej w wiekach średnich cywilizacją zachodnią powstaje zamiłowanie do przedmiotów pięknych również i wśród ludzi świeckich. Poczynają się otaczać dziełami sztuki. Wyjazdy młodzieży polskiej do szkół zagranicznych zamiłowanie to potęgują. Jak chętnie Polacy skupywali starożytności, świadczy o tym fakt, że w wieku 17-ym specjalnie podrabiano i fałszowano dzieła sztuki starożytnej we Włoszech „pei signori Polacchi" tj. dla panów polskich. Muzea o zakroju nowoczesnym powstały w Polsce dopiero w wieku 18. Najsłynniejszym z tego czasu jest muzeum w Puławach, nad którego wejściem znamienny widniał napis: „Przeszłość przyszłości".

Muzea, którymi dzisiaj szczycą się miasta polskie, powstały dopiero w czasach nowszych. Mimo ucisku ze strony zaborców, mimo braku odpowiednich funduszów, mimo piętrzących się na każdym kroku trudności, stworzono wolą i pracą jednostek przy czynnem poparciu całego narodu wspaniałe i bogate muzea. W sercu Polski w Krakowie, posiadamy Muzeum Narodowe, które z Sukiennic przeniesione zostanie kiedyś do zamku na Wawelu, w Warszawie jest także muzeum narodowe, oraz organizuje się wielkie i potężne muzeum, mające objąć cenne zabytki nagromadzone w ciągu wieków w całej Polsce.

Istnieje również wielkie muzeum we Lwowie, tzw. Muzeum imienia Ossolińskich, obejmujące cenne zbiory książek, i drugie Muzeum przemysłowe zawierające obrazy i dzieła sztuki. Są u nas pomniejsze muzea w Wilnie, Lublinie i Poznaniu a mamy nadzieję, że w miarę uregulowania się życia kulturalnego w Polsce powstaną i w innych miastach naszego kraju muzea, by dać obraz społeczeństwu kultury czasów przeszłych nietylko naszego kraju ale i innych krajów europejskich lub zamorskich.

Legendarna postać polki bohaterki Irlandji:

„Une femme sinn-fein", kobieta należąca do narodowościowego, tajnego związku irlandczyków, hrabina Markiewiczowa, oto tytuł pod jakim w „L'Echo de Paris" poświęca cały artykuł p. Dudley Heathcote.

„Jakim będzie w rezultacie rozwiązanie sprawy irlandzkiej? zadaje sobie pytanie autor. Czy będzie to już naprawdę jutrzenka nowego życia, która świecić poczyna nad Irlandją?

Z tą zagadką w myślach, wstępowałem po schodach do biura, gdzie urzęduje hrabina Markiewicz, minister pracy w irlandzkim gabinecie sinn-feinistów.

I dlatego tuż po powitaniu jej, spytałem ją, czy mogłaby sformułować mi tę ideę republikańską, która tak głęboko wkorzeniła się w jej sercu.

— Nie! odpowiedziała hr. Markiewicz. Ktokolwiek wnosi moment determinacji do ideału republikańskiego, uderza w samo serce Irlandji i chce przyczynić się do jej skonu... My jesteśmy tylko wykonawcami rozkazów tego ideału republikańskiego. Nigdy, na Boga nigdy, nie stracimy z oka naszego ideału. Nigdy nie złożymy przysięgi na wierność królowi Anglji.

A co do sprawy Ulsteru: chcemy stworzyć Irlandję zjednoczoną na trwałe. Ulster będzie częścią Irlandji. Ale my będziemy umieli zapewnić mu wszelkie prawa mniejszości i przyznać wszelkie przywileje, jakich uzyskał od Anglji.

Jak wygląda dziś hrabina Markiewiczowa?

Konstancja Markiewiczowa jest jedną z bohaterek Wielkiej Nocy 1916 r. Wysoka i silnie zbudowana, o włosach jasno brunatnych, o oczach jasno niebieskich, ma twarz dziwnie wyrazistą i robiącą wielkie wrażenie.

Reprezentuje ona dziś feminizm w ruchu narodowościowym, zaś życie jej jest jak powieść, pełna przygód, ponieważ p. Markiewicz dużo podróżowała i wiele przecierpiała i przeszła jako człowiek. Dla niej życie jest walką, w której ona bierze czynny udział.

Natura poetycka, poetka, utalentowana aktorka i malarka w jednej osobie (wystawiała swe obrazy w Salonie paryskim, uczyła się w Julien) pochodzi ona z najlepszej rodziny irlandzkiej Gore-Booth. Matka jej była angielką.

Jako zapalona patrjotka irlandzka, pracowała czynnie w organizacji bojowej tajnych związków sinn-feinistów i wzięła udział w tej szalonej imprezie patrjotów irlandzkich, jaką było powstanie irlandzkie Wielkiej Nocy 1916 r.

Wtedy w pierwszych okresach wielkiej wojny mała garść sprzymierzonych ogłosiła republikę irlandzką i przez cały tydzień broniła się orężnie w Dublinie przeciw regularnym wojskom angielskim.

Powstańcy ustąpili dopiero wtedy, gdy ciężka artylerja z zamku zaczęła ostrzeliwać barykady powstańcze na ulicach.

Było wtedy tych młodych zapaleńców 3000 ludzi z poetą Józefem Plunkett i Mac Donagh na czele.

Hrabina Markiewicz na czele 38 powstańców broniła się na barykadach ulicy Stephens Green. Wtedy wykopano rowy strzeleckie, a bohaterska kobieta na czele swych oddanych żołnierzy odrzuciła czterokrotne ataki trzech pułków piechoty. Ubrana po męsku, z rewolwerem w dłoni, broniła się jak lwica, biorąc jeszcze jeńca.

Potem rozpoczęły się aresztowania, wojna domowa, pobyt w więzieniu, skazanie jej na śmierć... Cztery lata okrutnych walk, które Irlandję doprowadziły do agonji.

A po czterech latach świt Irlandji jutrzenka narodowej swobody, wyzwolenia. Rząd angielski uznał wreszcie prawa narodowe Irlandji. Bohaterska zaś kobieta kieruje dziś w ministerjum pracy podwaliny pod przyszłe szczęście swego kraju.

Możemy z dumą mówić o tej kobiecie: płynie w niej świetna, gorąca krew Polki-patrjotki.

MYŚLI.

Cudze złe na słońcu, swoje w cieniu stawiamy radzi.

Z swojem na czoło, z cudzem do kąta, choć dobre.

Bardziej słowo zaboli, niżeli szkoda; bardziej mowa rozjątrzy albo dokuczy, niżeli uczynek.

Piękny żart, kiedy bez szkody, kiedy bez bólu, kiedy bez przymówki; który nie ma tych kondycji, nie jest żart, ale gotowa zwada.

Gość postrzegający — gotowy szpieg w domu.

Lepiej na łasce ludzkiej, niż na Boskiej szwankować: gdy tamtę utracisz, ta podźwignąć może; gdy tą potępi, wszystek świat nie poratuje.

Jałmużna nie zuboży, prawda nie ohydzi, statek nie oszpeci, msza nie opóźni.

Andrzej Maksymiljan Fredro.
Przysłowia mów potocznych 1658.

Humor i satyra.

Mądry Szloma.

Przez granicę przekradało się chyłkiem dwóch Żydów, Szloma i Jojne. Szloma miał wprawdzie paszport, towarzyszył jednak przyjacielowi, który go nie posiadał. Gdy już byli o jakie sto kroków od słupów granicznych, ukazał się strażnik . . . . Szloma kazał Jojnie iść spokojnie w stronę granicy sam zaś zaczął prędko spiesznie w bok uciekać. Widząc to, puścił się strażnik za nim w pogoń. Gonitwa trwała kilkanaście minut, wreszcie Szloma, zmęczony, ustał i siadł na ziemi, ciężko oddychając. Dopadł go strażnik, wołając:

— Paszport!

— Jaki paszport? — zapytał Szloma najspokojniej w świecie.

— Wasz paszport! . . . .

— Mój paszport? . . . Jest . . .

Dlaczego ja nie miałbym mieć paszport? — i wyciągnął z za cholewy paszport zupełnie legalnie wystawiony, owinięty w brudną chustkę . . .

Strażnik paszport oglądnął, po chwili zaś zapytał:

— A wy dlaczego uciekali, skoro macie paszport?

— Ja uciekałem? — Szloma na to — ja nie uciekałem wcale, ja tylko potrzebowałem troszkę biegać . . . Ja byłem w tamtym miesiącu w Karlsbadu i pan doktór kazał mi używać dużo ruchu na świeżem powietrzu...

— Ale widzieliście przecież, że ja za wami gonię.

— Nu . . . . Ja myślałem, że i pan strażnik był także w Karlsbadu i panu także doktór kazał prowadzić takie same kuracje...

A Jojne tymczasem bez paszportu, przez nikogo nie zatrzymany, przeszedł najspokojniej granicę.

Dla tego!

Gdy się mój okręt rozbił — opowiadał kapitan Bowsprit — natrafiłem w południowej Ameryce na kolonię dzikich kobiet, które nie miały języków.

— A jakże one mogły rozmawiać? — zapytała jedna z słuchaczek.

Nie mogły! i dla tego zdziczały — odpowiedział stary wilk morski.
